ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE

Pismo dodatkowe do Gazety Korrespondenta Warszawskiego.

we ŚRODĘ D. 1 Czerwca. 1825.

Ner: 22

Varietas delectat.

I.

B I E L A N Y.

Do naypięknieyszych zabaw wiosennych, należy bez wątpienia spacer do *Bielan*, w drugi dzień Zielonych Świątek. Kto z Cudzoziemców iest pierwszy raz w dniu tym w Warszawie, i widzi całą prawie ludność wylaną z murów Stolicy, dążącą w to przyiemne, pobożnych Zakonników ustronie, kto widzi szereg niezliczony powozów, otoczonych przepychem i okazałością, ten rzetelnie zdumionym zostanie, i poweźmie korzystne wyobrażenie o bogactwach kraiu. W rzeczy samey, w dniu tym niknie wszelkie wyobrażenie o ciężkości czasów i niedostatku pieniędzy... Ale zaniechaymy na ten raz przynaymniey, wszelkich filozoficzno-ekonomicznych przymówek; powiedzmy owszem, że w ciężkich to właśnie czasach, trzeba się rozrywać i bawić, ażeby zapomnieć choć na chwilę o troskach; wreszcie, chwilowa wystawność i zabawa bielańska, niezruynuie nikogo, a kto był golym w wilią Zielonych świątek, ten i na *Bielanach* niewiele straci....

Niezagłębiaiąc się w szperanie pierwszych początków zabawy bielańskiey, dosyć iest powiedzieć, że za czasów *Stanisława Augusta*, iuż ta przeiażdżka była w modzie: a nayświetnieysze bywały *Bielany* w czasie Seymu czteroletniego, kiedy w podwóynym składzie, Reprezentanci narodu byli obecni w Warszawie, kiedy Posłowie Mocarstw zagranicznych i wielka liczba Cudzoziemców przebywaiąc w Stolicy, dodawała świetności wszystkim zabawom i Bielańskiey. Widziano tam ieszcze cały przepych dawnych dworów polskich, widziano powozy poprzedzane lauframi, otoczone mnóstwem dworzan, i t. d.

Lat trzydzieści kilka wielką stanowi różnicę, tak w sposobie myślenia ludzi iak i w guście, uważanym pod względem wystawy i przepychu. Niema iuż dziś laufrów, paiuków i hayduków, niema woysk nadwornych, które tyle dodawały zbroyney świetności Panom naszym; ale są piękne kocze, są żokieie, liberya skromna i t. d. Mówię skromna, bo na pochwałę czasów naszych powiedzieć można, że większa w powierzchowney nawet okazałości panuie skromność: i że mówiąc w ogólności, Fanfaronowie dzisieysi, są nierównie skromnieysi niż dawni.... Może bydź, iż ta skromność pochodzi w części z ciężkich czasów... ale czyż nielepiey będzie, kiedy na pochwałę wieku, przypiszemy tę skromność postępom kultury, oświecenia, i bardziey upowszechnioney filozofii praktyczney...

Nie iestem biegłym erudytem w historyi zabaw Warszawskich; zdaie mi się iednak że od czasu Seymu cztero-letniego, nie było tak świetnych zielonych świątek; i świetność Bielan tegoroczn nych, przypisać należy obecności większey liczby znakomitych osób, przebywaiących teraz w Stolicy z powodu obrad Seymowych.

Nie ieden z czytelników przeczytawszy dotąd ten artykuł, powie zapewne, że pisząc o *Bielanach*, możnaby przecież coś satyrycznego powiedzieć: że to iest niewyczerpane źródło postrzeżeń żartobliwych; że przechadzka nad *Wisłą* w dniu tym świetnym, iest zupełnie podobną do Reduty zapustney, i. t. d. Może bydź, nieprzeczę temu, ale ia odpowiedam że byłem na *Bielanach* dla tego ażebym się bawił, nie zaś wcelu zbierania wzorków. Piękność położenia tego mieysca, szlachetna prostota wspaniałey natury, rozbraiać powinna naysatyryczenieyszego Obserwatora. I cóżby wreszcie dało powód do satyry! czy wytworność powozów? Bynaymniey. Jm więcey iest wytwornych powozów, tem lepiey się maią rzemieślnicy Warszawscy: a im lepiey się maią ludzie żyiący z pracy rąk swoich, wreście im większa cyrkulacya pieniędzy: tym lepiey dla kraiu (stosownie do zasad Ekon: politycz:)-Wreszcie ci, którzy mnie widzieli iadącego dorożką na *Bielany* a przyganiaiącego wytworności powozów, posądziliby o zazdrość.... i słusznie. Może mam przyganiać wytworności i przepychowi ubioru kobiet? Jeszcze bardziey w to się niechcę wdawać. Kobiety, na to są na świecie, żeby się pięknie a nawet wytwornie ubierały, tak iak nato są sklepy Marchandes des modes, składy bławatne pod kolumnami, na Krak: przedmieściu i t. d. żeby w nich znaleźdź można było to wszystko, co należy do ubioru damy... Czy mam się urągać z szczerości zabaw ludu pod namiotami? Bynaymniéy; raczéy bym radził iakiemu wierszopisowi, w sielance czułéy oddać hołd należny prostocie nieobłudnéy i dobremu humorowi kmiotków i rzemieślników naszych. Wreszcie niebędąc z powołania celnikiem, tém mniéy chciałbym się wdawać w rewizyą całego lasku Bielańskiego i w wyszukiwanie kontraband . . . . Słowem zamiast Satyry, raczeyby wypadało pisać corocznie wracaiąc z Bielan pieśni wesołe, epitalamiia i t.d., a głos radośny, rozlegaiący się w późney nawet nocy po rozkosznych zaroślach bielańskich i powabném nadbrzeżu Wisły, powinienby natchnąć nie iednego Poetę do nastroienia lutni swoiéy na uczczenie *Bielan*, a szczególniéy na uczczenie wesołego Poniedziałku Zielonych świątek. —

Piękność mieysca i świetność zgromadzenia na *Bielanach*, sprzyia bez wątpienia natcnanieniom miłości. Dowodem tego iest wierz następny znaleziony w krzakach Bielańskich w pozaprzeszły wtorek, a przysłany Redakcyi, który dla swoiéy oryginalności czytelnikom udzielamy.

„Trzeci raz ciebie widzę, naymilsza z Ziemianek,
„I skarzę się na losy nieszczęsny kochanek.
Kiedy przed trzema laty, tu nad brzegiem Wisły,
Pierwszy raz twa uroda podbiła me zmysły;
W dalekie, zbiegiem zdarzeń uniesiony strony,
Gasiłem w sercu moiém pożar rozniecony.
Ale próżna usilność: wczoray cię uyrzałem,
I silnieyszym niż przedtém goreię zapałem;
Niechcę wiedzieć kto iesteś, iaki ród twóy, miano,
Tobie iestem nieznany, ty mi bądź nieznaną!
Dosyć że ciebie kocham . . . .

(Szczególny rodzay miłości, prawdziwie pasterskiéy....)

II.

Mahomet II i Konstanty Palaeolog czyli Zdobycie Konstantynopolu.

(Dokończenie.)

Pierwsze zaraz przedsiewzięcia obu monarchów, odznaczały naylepiéy ich sposób myślenia. *Mahomet*, który zmierzał iedynie do zdobycia Konstantynopola i do zniszczenia chrześciańskiego Cesarstwa, zaledwie osiadł na tronie, natychmiast Grekom, groźnym chciał się pokazać. Nad kanałem idącym od Carogrodu aż do morza czarnego, zkąd naywięcéy żywności i wszelkich innych potrzeb stolica ta dostaie, wystawił ieszcze *Amurad*, oyciec *Mahometa*, zamek obronny na brzegu

Azyatyckim; *Mahomet* chcąc się stać panem kanału, postanowił wystawić drugi na brzegu Europeyskim. — Bezskuteczne były przyiazne Greków przełożenia, *Mahomet* odpowiedział z dumą, „iż gdy ziemia iest iego własnością, któżby poważył się wzbronić mu iéy użycia?” chciał *Konstanty* odeprzeć gwałt gwałtem, lecz znalazł mocny opór w Ministrach swoich, którzy iak się zdaie, przekładali późnieyszy, chociaż widoczny upadek, nad niepewny i mniéy podobny ratunek. — Tymczasem *Mahomet*, budował bez przeszkody, myśląc o zaczepce, do któréy można było wynaleść pozór bez trudności. Nadzwyczayna zuchwałość Turków, roziątrzała niezmiernie Greków, a gdy razu iednego, ci pierwsi paśli trzody swoie w zbożu Greków, przyszło ztąd między niemi do krwawéy kłótni, która była pierwszém hasłem do woyny i postrach w stolicy roznosiła. — Działo się to w Czerwcu 1452 roku. Zamknięto bramy miasta, z którém wszelki ustał związek, a wtenczas ieszcze oświadczył głośno *Mahomet*, iż iedynie dla tego wstrzymuie się od rozpoczęcia nieprzyiacielskich kroków, że nieukończywszy rozpoczętych nad kanałem warowni, ieszcze Panem Bosphoru zwać się nie może. — Pośpieszył też z ukończeniem kastelu który w iesieni iuż był gotów w zupełności; pierwszym zaś iego użycia skutkiem, było nałożenie haraczu na wszystkie, kanałem płynące statki i okręty.

Nadchodzącą zimę w odmiennym zupełnie sposobie przepędzono. *Mahomet* robił przygotowania do wszelkich przedsięwzięć: prowincye iego dostarczały woyska; kazał lać działa i przysposabiać amunicyą; a że sztuka woienna i użycie broni ognistéy, były ieszcze wtenczas w swéy kolebce, robiono więc działa niesłychanéy wielkości, w tém przekonaniu, że ieden lub kilka strzałów zdoła od razu warowne rozwalić mury i szańce.

Tymczasem w Konstantynopolu, oczekiwano z gnuśną spokoynością burzy, którą przewidywano; lecz któż miał obmyślić środki obrony, lub kto grożące odwrócić nieszczęście? Na pomoc Zachodu nie można się było spuszczać: Francya z Anglią były między sobą w woynie, a Cesarz Frederyk III, zbyt był zaięty domowemi niesnaskami, oraz zaburzeniami Czechów i Węgrów, ażeby woynę z Turkami przedsiebrać był w stanie. Wreszcie taka wtenczas między chrześcianami wyznania Greckiego i między katolikami, panowała nienawiść religiyna, że Grecy więcéy Turkom, iak tym pierwszym przychylnemi byli. — Liczył wprawdzie Konstantynopol sto tysięcy ludności, lecz w liczbie téy zaledwie 4000 tysiące ludzi zdolnych do walki znaydowało się. Siła zbyt szczuła do obrony tak obszernego miasta, zwłaszcza przeciwko napaści ogromnego woyska. — Całą nadzieię i ufność pokładano iedynie, w odwadze i w niezmordowanéy czynności Cesarza, który niezaniedbywał niczego, do postawienia się w naylepszym stanie obrony. — Owych 4000 ludzi ćwiczono w robieniu bronią, naprawiano mury i szańce; a wniyście do portu, zamknięto niezmiernie grubym łańcuchem, który okrętom nieprzyiacielskim miał przystęp tamować. Miał także Cesarz 2000 woyska zagranicznego na swoim żołdzie, którem waleczny *Giustiniani* Genueńczyk, dowodził.

O potędze Turków niemasz pewnéy wiadomości; owocześni iednak pisarze, podaią ią na 250,000 woyska, złożonego po większéy części z samego motłochu, który chciwy rabunku i zdobyczy, śpieszył pod chorągwie *Mahometa*. Korpus Janczarów, czoło woyska Tureckiego, liczył tylko 15,000 ludzi. — Flota Turecka składała się z 300 żagli, między któremi 18 okrętów lub galer zbroynych; reszta zaś pomnieysze statki, przeznaczone do przewozu woyska i żywności.

Z nadeyściem piękn*éy pory czasu, zgromadził *Mahomet* woyska swoie i postąpił pod Konstantynopol. — Wszystkie małe miasta, zamieszkałe przez Greków uległy przewadze iego, i iuż na dniu 6 Kwietnia, zatknął chciwy zdobywca sztandary swoie na bramach Carogrodu.

Tylko z trzech stron od lądu, można było uderzyć na miasto. Port iak się wyżéy powiedziało, był zamknięty, a flota

Turecka zasłabą, ażeby od morza działać była zdolną. Istotne więc iéy przeznaczenie, ograniczało się na dowozie żywności dla woyska swego, i na pilnowaniu, ażeby żadnych zapasów dla oblężonego miasta niedostarczano; gdy tymczasem Sułtan od strony lądu szturmować go zaczął. Rozłożył on w tym celu woyska swoie w linii, któréy iedno skrzydło do portu, a drugie aż do zamku, Siedm Wież, zwanego, dotykało. Korpus Janczarów umieszczony był w samym środku i przy nim sam znaydował się Sułtan; wysypane szańce służyły oblegaiącym za ochronę. Oddzielny korpus obległ a raczéy miał tylko na oku, przedmieście *Galata*, które będąc przed 200 laty odstąpione możnym niegdyś na morzu Genueńczykom, z czasem przy upadaiącéy potędze Cesarstwa, umiało częścią przez układy, w części zaś przemocą, zapewnić sobie znaczne przywileie, i nieiako oddzielne oraz niepodległe formowało miasto. Za zbliżeniem się *Mahometa* pod mury Carogrodu, zawarło z nim prywatny układ, w którym chętnie zezwolił *Mahomet* na wszystkie warunki, bo pewnym był, iż w mocy iego będzie póty tylko ie dotrzymywać, dopóki własny interes iego, wskazywać tego będzie potrzebę.

Porównywaiąc wzaiemne nieprzyiaciół siły, zdaie się, że była przewaga na stronie oblegaiących; zważywszy iednak obronność miasta i sposób w iakim natenczas twierdze zdobywano; nie wiele mógł *Mahomet* na pomyślny skutek swéy wyprawy liczyć, zwłaszcza że Grecy mieli na swém czele odważnego wodza, i wiedzieli, iż zdobycie stolicy, zupełny ich upadek za sobą pociągnie.

Miasto, otoczone było dwoma grubemi murami, w środku których głęboki rów przechodził; to było powodem *Mahometowi* do użycia dział wielkiego kalibru, bo żeby utorować sobie drogę do miasta, wypadało mu koniecznie zwalić mur przodkowy i rów zasypać, a dopiero do drugiego muru szturm przypuścić. — Z czternastu więc założonych bateryi zaczęto strzelać do przedniego muru, w czem ciężkość dział, brak szybkości zastępowała, bo nieznano wtenczas ieszcze tego stopnia doskonałości i przewagi, do iakiego dziś ta broń straszliwa doszła. — Naywiększe z dział Tureckich znane pod nazwiskiem *Armaty Mahometa*, wyrzucało ogromną kulę kamienną, 600 fun: ważącą. Tylko siedm razy na dzień, można było z niéy strzelać. Ta ogromna machina pękła nareszcie, i mnóstwo ludzi o śmierć przyprawiła.

Nieustanny ogień, który Turcy codziennem wsparci doświadczeniem, co raz lepiéy kierować umieli, nie był bez skutku: część muru przedniego zawaliła się, z czego korzystaiąc, postanowili przeyść przez wyłom, ażeby rów zapełnić. Naprzeciwko tego wyłomu, postawiono nayprzód drewnianą wieżę faszynami napełnioną, która służyła zarazem na skład zapasów do zapełnienia rowu przeznaczonych, i za punkt schronienia, w razie potrzeby. — Ten nadzwyczayny wymysł, pomyślnym w rzeczy saméy uwieńczony był skutkiem, pomyślnieyszym nawet niż się można było spodziewać. Mnóstwo faszyn, które częstokroć wspólnie z ludźmi do rowu wrzucano, zapełniły znaczną część tegoż; nadto iedna z wież nieprzyiacielskich tak mocno ucierpiała, iż tylko nadchodząca noc przeszkodziła Turkom dokonać napadu, który do dnia następnego w zupełnéy odłożyli ufności. Lecz czynność Cesarza Greckiego i poświęcenie się iego woiowników, zniweczyły bliskie skutku nadzieie. Téy saméy ieszcze nocy podpalono wieżę, która razem z faszynami w ogniu spłonęła, rów z zawaliska oczyszczono, baszty naprawiono.

Tym więc sposobem odparto pierwsze Turków natarcie, a w chwili gdy *Mahomet* unosił się wściekłością, że mu się zamiar iego nie powiódł, Greków nowa ożywiła nadzieia. Z rozkazu Cesarza, uzbroiono na wyspach Archipelagu kilka okrętów, które z żywnością i z potrzebami woiennemi, pod Kostantynopolem właśnie podczas tego napadu pokazały się. Widok tychże statków, ożywił gasnącą iuż nadzieię oblężonych Greków, lecz tę radość truła znowu niepewność, iakim sposobem tę okręty do portu dostać się

zdołaią? Długo chciano uniknąć spotkania z rozproszonemi po Helesponcie okrętami Tureckiemi, bo w takim razie walka tylko roztrzygać mogła, czy wpłyną do portu Konstantynopolskiego, albo nie. — Stanęła flota Turecka w szyku boiowym; a pyszna przewagą swoią, uformowała pół-xiężyca, obudwoma końcami brzegów dotykaiąc. Lubo okręty Greckie w małéy tylko znaydowały się liczbie, dobremi iednak osadzone maytkami i dobrze kierowane, uderzyły śmiało na liniią nieprzyiacielską. Niezliczone mnóstwo ludu, przypatrywało się z nad brzegów téy walce; z iednéy i drugiéy strony słychać było głosy, dodaiące odwagi, każdy swéy stronie; *Mahomet* dosiadł konia i sam przyśpieszył nad brzeg morski, widok i głos iego dodaie zapału i odwagi Bisurmanom. Tak d lece był niespokoyny i niecierpliwy, iż wpław chciał konno puścić się na wodę; po kilka razy spiąwszy konia ostrogami, nurzał się w bałwanach morskich. — W oczach iego po trzykroć wznowiono spotkanie, gdy w końcu przewaga Turków, odwadze i zręczności Chrześcian ustąpić musiała. Za ostatniém uderzeniem na Turków, przełamali ich liniią, rozproszyli flotę, mnóstwo zniszczyli statków, i wpośród radosnego okrzyku swych braci, w tryumfie wpłynęli do portu, oswobodzonego iuż w téy chwili z łańcucha, który go zamykał.

Niemało ten wypadek zraził *Mahometa*, bo tym sposobem plan iego, zdobycia miasta od strony lądu, został tak dobrze iak zniweczony; potęga iego osłabiała się codziennie, a przeciwnie Grecy, nowe otrzymali posiłki. — Nowego zatem chwycił się sposobu: liczne swe woyska rozdzielił na części, i z kilku mieysc razem kazał zagrażać miastu, ażeby tym rozłączeniem sił w różne strony, osłabić nielicznych obrońców. Lecz i tu nieprzełamane prawie znalazł przeszkody. Port był bardzo ściśle zamkniętym, i ta strona miasta zbyt obronną, ażeby pędem siły okrętów swoich, rozerwać łańcuch i miastu zagrozić. Statki iego, były do tego za małe i w nędznym stanie. Lecz właśnie ta niedostateczność potęgi morskiéy, ta lekkość okrętów iego, sprawiła, że po długim namyśle, dokonał innego zamiaru. —

Ponieważ niemożna było pomyśleć o zerwaniu łańcucha przystępu tamuiącego, postanowił *Mahomet* lądem przeprowadzić statki swoie, tam gdzie po wodzie dostać się niemógł. — Na rozkaz iego, ubito i zrównano drogę na około przedmieścia Galata, którą tarcicami wyłożono, ażeby tym łżéy toczyły się po nich walce, na których statki przeprowadzić postanowił. Jest to czyn do wiary niepodobny, tak iak to, że niegdyś *Anibal octem* skały rozsadzał; tymczasem tak iest w istocie; nay wiarogodnieysi pisarze stwierdzaią to iednomyślnie. Nadmienić tylko wypada, iż owczasowe okręty woienne, nie były tak ogromne, iak dzisiay. —

Kiedy iuż wszystko przygotowaném zostało, wysadzano na brzeg Bosphoru 80 lekkich statków od 30 do 50 wioseł; położono ie na walcach i za pomocą windów naprzód posuwano; tak tedy w ciągu iednéy nocy, przetoczyła się, można powiedzieć, flota Turecka z iednego lądu na drugi, i w mieyscu do tego naysposobnieyszém, do portu spuszczoną została.

To przedsięwzięcie tym większy popłoch sprawiło w mieście, im mniéy spodziewaném bydź mogło. Przekonali się Grecy, iż mieli do czynienia z człowiekiem, dla którego nic trudném nie było, a który im większe spotykał przeszkody, z tém większą zawziętością w dziele swoiém postępował. — Jakoż niezaniedbał *Mahomet* niczego, ażeby korzystać z pierwszego Chrześcian postrachu; zaledwie stanął w porcie ze statkami swoiemi, założył natychmiast tamę a raczéy pływaiącą bateryą, na któréy osadziwszy działa, od strony portu do miasta strzelanie rozpoczął. — Usiłowali po kilkakroć Grecy spalić te statki, lecz niepowiódł im się ten zamiar, stracili nawet przytém kilka okrętów i niemało ludzi.

Tak z dwóch stron ściśniony, widział Konstantynopol nieomylny swóy upadek. Turcy strzelaiąc nieustannie pra-

wie od strony lądu, zwalili część muru i wież kilka; nieliczny hufiec obrońców stolicy zmnieyszał się codziennie, a na domiar złego, duch niezgody i podeyrzenia szerzył się w massie ludu, w stosunku zwiększającego się coraz niebezpieczeństwa. Już niemógł waleczny *Konstanty* samym tylko przykładem wznieść upadaiącego ducha, trzeba było prosić, nagradzać, obietnicami zachęcać. Zbyt słaba broń przeciwko tak możnemu nieprzyiacielowi.

Tę porę osądził *Mahomet* za naydogodnieyszą, do przypuszczenia powszechnego szturmu. A gdy wszelkie iego propozycye, czynione względem poddania miasta i względem przeyścia na wiarę Mahometa, iednomyślnie odrzucone zostały; wtenczas dumny zaprzysiągł, iż albo grób w murach Konstantynopola znaydzie, albo na tronie iego zasiądzie.— Poczyniono wszelkie do szturmu przygotowania; zwołani na radę astrologowie, naznaczyli dzień szczęśliwy. Był to dzień 29 Maia 1452 roku, oblężenia dzień 53, właśnie trzeci dzień zielonych świątek Chrześciańskich. Z woyskiem, które składało potęgę *Mahometa*, nie można było działać podług pewnego planu, *Mahomet* też oznaczył tylko główne punkta, na które uderzyć miano. Żeby zaś tym pewnieyszym był skutku, z iedney strony przyrzekł naysowitsze wszystkim nadgrody, z drugiéy naysurowszemi zagroził karami.— Smierć czekała każdego, ktoby płacu niedotrzymał; ten zaś miał zostać Gubernatorem całéy prowincyi, kto pierwszy stanie na nieprzyiacielskim murze. Powszechny odpust czyli oczyszczenie zwyczaiem Muzułmanów, wszystkim udzielone zostało; w teyże saméy chwili zebrani Chrześcianie w kościele S. *Zofii* błagali pomocy Naywyższego.

Chciał *Mahomet* ażeby dzień zupełny, był świdakiem sławy iego; spoczęły więc téy nocy dzikie barbarzyńców roty; ale zaledwie błysnęły pierwsze światła słonecznego promienie, obił się o uszy oblężeńców wrzask przeraźliwy zgromadzonéy dziczy, wołaiacéy: — „*Bóg iest Bogiem, a Mahomet Jego Prorokiem.*" — Niebawnie, straszliwy ogień ze wszystkich batteryi rozpoczął tę okropną scenę; Turcy pod zasłoną grubéy mgły dymu prochowego, podsunęli się pod mury stolicy. Lżeysze ich statki, stanęły pod samém miastem. Opatrzone były drabinami i sprzętami wszelkiego rodzaiu do szturmu potrzebnemi; uderzono nayprzód w stronie zachodniéy miasta, iako w mieyscu, gdzie woysko lądowe, to działanie naywygodniéy wspierać było wstanie.— Od strony lądu, znaczna część muru przedniego została zwaloną i gruzami swemi nie mało zasypała rowu; pierwszym też to było celem oblegaiącego, ażeby po nim drogę utorować; kazał postępować w otwartym boiu nayprzód samemu wyborowi woysk swoich; za nim postępowały w massach kolumny iedna za drugą; niezliczone trupy razem z faszynami do rowu zrzucane, pomost dla następuiących tworzyć miały. Dzielnie odparli Chrześcianie ten pierwszy Muzułmanów napad; każdy strzał pokładał stosy trupów, bo takie ich szły massy, że chybić było niepodobieństwem. Lecz im więcéy legło niewiernych, tym prędzéy rów się napełniał. Ale więcéy podobno mieli Grecy nieprzyiacioł, aniżeli strzał i kul na ich pokonanie. Roziątrzony *Mahomet*, nowemu coraz woysku postępować kazał. Nadeszła nakoniec stanowcza chwila śmierci lub zwycięztwa. Stoiący dotąd w odwodzie Janczarowie, zaczęli naprzód postępować; za niemi iechał *Mahomet* konno na czele 10,000 zbroynych, obecnością swoią do boiu zachęcaiąc. — Ryknęły znowu po kilkakroć wszystkie działa; znowu wśród obłoków dymu, wkroczyły świeże posiłki; iuż wtenczas zawalona gruzem i trupami fossa, wolne przedstawiała przeyście. Podstąpili więc do drugiego muru; a że każdy dla obiecanéy nagrody chciał bydź pierwszym na murze, z zapałem wszyscy darli się na iego wierzchołek.

Hassan Janczar, olbrzymiéy wielkości, pierwszy iak mówią wdarł się na mury: Z 30 towarzyszów iego 18 trupem legło, iego samego nawet ściągnięto z muru: ale w tém samem mieyscu gdzie oręż iego

drogę utorował, nowe następowały roty. Wrzawa wzrastała coraz silniéy; odgłos zwycięztwa *Turków*, powtarzało echo śmierci nieszczęśliwych Chrześcian.

Dopóki Cesarz walczył na czele hufców swoich, dopóty waleczni dowódcy łączyli z nim usiłowania swoie, dopóty też i Chrześcianie dzielny dawali odpór. — *Guistiniani* Genueńczyk, był pierwszym którego ciężka rana do odstąpienia z placu znagliła; szukał ratunku, lecz w kilka godzin wyzionął ducha. On to i *Konstanty Paleolog* byli duszą walki; iego oddalenie się, za którém część żołnierzy iego poszła, osłabiła opór obrońców, i dała przewagę nacieraiącym Turkom.

Zewsząd wtenczas wdzierać się do miasta zaczęli; nadaremnie chciał *Konstanty* wstrzymać ich zapęd, iuż potok był za wielki; nic mu się oprzeć nie mogło. — Już wybiła ostatnia godzina dla kraiu, i ostatnia chwila życia iego. Gardzący niebezpieczeństwem i śmiercią, długo ieszcze zasłaniał własnemi piersiami odwrót Greków, ulegaiących przewadze, nareszcie otoczony garstką wiernych przyiacioł którzy wszyscy u nóg iego legli, sam w końcu padł pod mieczem niewiernych, i zniknął po między stosem poległych.

Nie udziela nam historya rysu iego chwalebnego zgonu; nieznana ręka zadała mu raz śmiertelny; lecz zwaliska w których się wolał zagrzebać, niż przeżyć własną oyczyznę i naród, swietnym na wieki sławy iego zostały pomnikiem.

Ze zgonem *Konstantyna* uzupełniło się i zdobycie Konstantynopola; niebawnie także od strony portu, znaleźli Turcy wolny wstęp do miasta. — Ci z tych walecznych, którzy ieszcze przy życiu pozostali, cofnęli się w głąb miasta, a gdy i tam iuż nie było żadnego ratunku, u stopni świętych ołtarzy szukali schronienia. Powszechny strach ogarnął wszystkich; wszyscy biegli tłumem za obrońcami swemi; kobiety, dzieci, starcy, cisnęli się do Swiątyń Pańskich, a szczególniéy do kościoła S. *Zofii*, gdzie wkrótkim czasie, gmach ten obszerny aż do natłoku napełniony został.

Tymczasem zwycięzki żołnierz, rozszerzył się po wszystkich miasta ulicach. Co kto zdobył, było iego własnością; wszystko rabować było wolno, domy tylko rozkazał Sułtan ochraniać. Straszliwie dopełnili danego sobie pozwolenia; lecz przyzwoiciéy iest, że pióro historyka w tem mieyscu skruszoném zostanie. — Chęć rabunków, zmnieyszyła nareszcie okropny krwi rozlew; nieszczęśliwych mieszkańców wzięto w niewolą, lecz wszelkie kosztowności, wszelkie zabytki sztuk pięknych i nauk: rzeźby, posągi, obrazy i biblioteki; to wszystko zniknęło.

Jeszcze tego samego dnia przed południem, odprawił *Mahomet* tryumfalny wiazd do stolicy. Jechał konno, otoczony całym orszakiem, przez ulicę S. Romana aż do kościoła S. Zofii, który natychmiast w meczet zamieniono. Niewola, była udziałem tych, którzy tu schronienia szukali.

Taki był koniec tego pamiętnego dnia, w którym Konstantynopol, stał się stolicą nowego zupełnie Państwa. Niebawnie naprawiono zniszczone mury, ponaprawiano i odnowiono domy, oraz nową zaludniono ludnością. *Mahomet*, założył tu stolicę swoią, i dotąd iest nią dla następców iego. Może bydź, iż w xiędze wyroków zapisany iest dzień w którym zaydą wielkie zmiany; w którym na murach Carogrodu, znowu powiewać będzie chorągiew Krzyża. Ale nie usiłuymy zedrzeć zasłony, okrywaiącéy niedocieczoną przyszłość. Losy narodów, złożone są w ręku Przedwiecznego.

III.

Do K. W.......

Jesienny wiatr iuż powiewa,
Przed sobą czarne dmie chmury,
Zasępia czyste lazury
Obrywa liście iuż z drzewa.

Leciuchny Zefir niedmucha
Wszystko na ziemi więdnieie,
Głuche iuż lasy i knieie,
Cała natura iuż głucha.

Pomarły kwiaty i zioła,
Już puste góry, doliny,
Niesłychać głosu ptaszyny,
Niesmie odezwać się pszczoła.

Usycha trawka zielona,
Próżno się z wiatrem iuż sili;
Ku ziemi chwieiąc się chyli,
I zżółkła, prawie iuż kona.

Wnet się iuż nic nieutrzyma,
Wszystko swą postać odmieni,
Bo po tey smutney iesieni
Wkrótce nastąpi iuż zima.

Przyspieszy ona swe kroki,
Przyniesie śniegi, zamiecie,
Rozpuści mrozy po świecie,
Ujarzmi bystre potoki.

Lecz minie iey panowanie,
Pękną i stopią się lody;
Zamruczą ieszcze raz wody,
Łagodna wiosna nastanie.

Natura ieszcze ożyie,
Jeszcze się ziemia ukwieci,
Jeszcze i słowik przyleci,
Gniazdeczko sobie uwiie.

Kochanka w lubym gaiku,
Miły głos iego usłyszy;
Siądzie z nim w iedney zaciszy,
O! iakiż los twóy słowiku!

Zefirek ztąd was niespłoszy,
On się nad wami rozczuli;
Skrzydełkiem swem was otuli,
Nieprzerwie waszey roskoszy......

Jeszcze i krzewy odrosną,
I łąka barwę swą zrzuci,
Wszystko po wróci się zwiosną,
A mnie iuż nic się niewróci....

Wiosna swem miłem weyrzeniem
Umarłą trawkę ocuci;
Życie iey wróci swem tchnieniem,
A mnie iuż nic się niewróci!

Wiosenną pieśń pasterz młody
Na flecie czułym zanóci;
Wrócą się iemu swobody,
A mnie iuż nic się niewróci!

I moiey iuż Karloinie
Nikt więcey szczęścia niesklóci;
Ona w roskosze opłynie
A mnie iuż nic się niewróci.

Wiosna ią czuciem napoi,
Móy obraz iey niezasmuci;
Kochanek szczęście podwoi,
A mnie iuż nic się niewróci!...

Ciężar mnie zgryzot przygniecie!...
Nikt iuż mych cierpień nieskróci...
Ja tylko biedny na świecie,
Bo mnie iuż nic się niewróci!....

Sz....

IV.

SIELANKA.

Pelon rozpaczaiący.

przez *L...... R......*

Próżno zasadzam me sieci,
Bym dla niéy złapał czyżyka;
Już w nie podobno nie wleci,
A słońce coraz umyka.

Z czymże wrócę do Anieli,
Ona iuż tęskni bezemnie;
Bezemnie iéy nie weseli
Słowik, co nóci przyiemnie.

Przebóg! o płochy czyżyku!
Chceszże mnie szczęścia pozbawić,
Mamże zostać w tym gaiku
I noc smutną bez niéy trawić.

Okrutny! uciekasz w krzaki,
Ale nieuznikniesz kary,
Jeźli mnie spotka los taki
Jak ciebie, gdy niemasz pary.

Próżno móy ięk cię weseli,
Ale gdy to słońce zaydzie
Poleć, do moiéy Anieli
I mów, że mnie iuż nieznaydzie.

Gdy to rzekł Pelon strapiony,
Puścił się w zarośla smutny;
I zaszedł w nieznane strony,
A ptak poleciał okrutny!!.